

Moje wspomnienie o Profesorze Wajdzie

W życiu doczesnym na Ziemi człowiekowi towarzyszą pewne potrzeby, cielesne i duchowe. Te potrzeby każdy z nas stara się realizować, żeby życie było lepsze, pełniejsze, przyjemniejsze. Na ich spełnienie miewamy czasem wpływ, niekiedy jednak są poza naszym zasięgiem. Jedną z takich potrzeb, na realizację której raczej nie ma się wpływu, bo decyduje o tym po prostu los, jest spotkanie na drodze swojego życia nauczyciela, mentora, kogoś kto nas naucza, świeci przykładem, ktoś kogo chcemy naśladować. Naturalnymi nauczycielami są oczywiście rodzice, którzy nas kochają i chcą, abyśmy wyrosli na porządnym, mądrym i dojrzałym ludzi. Mówiąc jednak o nauczycielu jako o mistrzu, wychowawcy czy przewodniku, często mamy na myśli osobę, z którą nie łączą nas więzy biologiczne. Człowiek, któremu tę potrzebę udało się spełnić, może mówić o sobie jako o wybrańcu losu.

My to szczęście mieliśmy (mówiąc „my” mam na myśli siebie oraz koleżanki i kolegów, nie tylko chirurgów, z którymi miałem niezapomnianą, wielką przyjemność pracować przez siedemnaście lat w Szpitalu na Łąkowej). Mówiliśmy o Nim po prostu Wajda, ale głęboko w duszach nazywaliśmy Go Naszym Profesorem, Naszym Nauczycielem czy też Naszym Kierownikiem. Nauczał nas medycyny interdyscyplinarnej, nie tylko chirurgii. Doskonale rozumiał, co znaczy i jak ważna dla młodych adeptów jest tzw. szkoła chirurgiczna. Potrafił wytworzyć wokół własnej osoby teatr jednego aktora, a my z uwagą chłoniliśmy Jego gesty, delikatne, kocie ruchy, głębokie, ciepłe spojrzenie, intonację głosu. Podziwialiśmy Jego podejście do chorych, szeroką wiedzę medyczną i nie zawsze wytłumaczalny instykt chirurgiczny, instykt dany przez Opatrzność, niewyuczony, bo tego nie można się nauczyć. Można tylko podglądać.

Z biegiem czasu opuszczaliśmy nasze rodzinne gniazdo na Łąkowej. Ruszaliśmy w świat, bliższy i dalszy, by samodzielnie uprawiać nasz ukochany zawód. Nie zawsze było łatwo, przeżywaliśmy i nadal przeżywamy wzloty i upadki, jak to w chirurgii. W chwilach trudności, rozterki, pierwszym pytaniem, które przychodziło na myśl było *a co by zrobił Wajda?* Jeżeli nie potrafiliśmy znaleźć odpowiedzi, zawsze pozostawał telefon do Przyjaciela.

Nauczał nas jak żyć. W rodzinie. Nasz zespół chirurgiczno-anestezjologiczny traktował jak rodzinę i przy przeróżnych okazjach to podkreślał. Obowiązywała solidarność i zasada jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. W niektórych sytuacjach czuliśmy się jak dobrze scementowana opozycja wobec srogiego, wymagającego kata (tak sam mówił o sobie). Z perspektywy czasu widzę, że o to właśnie Profesorowi chodziło, zależało Mu swoją niewidzialną ręką tak właśnie ustawić pozytywne relacje międzyludzkie w zespole.

Nauczał nas bycia odpowiedzialnym. Odpowiedzialnym za chorego, bo w naszych rękach leżało jego zdrowie, a często życie. Pokazywał na własnym przykładzie, jak nie pozostawać obojętnym wobec cierpienia, jak każdego dnia oddawać naszym pacjentom cząstkę siebie, nawet w największym znużeniu.

Profesor nie tolerował incydentów zaniechania, nieobowiązkowości. Za to potrafił służyć pomocną ręką, poradą, wsparciem w porażkach, które są wpisane w życie zawodowe każdego chirurga. Nie byliśmy święci, jak to bywa z chirurgami. Zdarzały się nieprzespane noce, niekoniecznie z powodu nocnych operacji na dyżurze w Klinice. Odpowiedzialność wpojona przez Profesora nakazywała jednak następnego dnia rano stawić się w odpowiedniej formie na posterunku, zając się chorymi, studentami, wygłosić referat na konferencji czy też powiesić plakat. Wpajał nam odpowiedzialność za nasze chirurgiczne ręce, aby nie były „betonowe” czy „drewniane”, dlatego nie bardzo tolerował sport, który większość z nas uprawiała. Uważał, że sport niszczy nasze podstawowe narzędzie pracy. Nie zapomnę sytuacji, gdy po meczu piłki ręcznej, w czasie którego doznałem dwumiejscowego złamania prawego kciuka, z ręką w gipsie pełen strachu udałem się do Profesora oznajmiając, że z powodu kontuzji sportowej nie mogę operować. Ku mojemu zaskoczeniu, zamiast oczekiwanej reprimendy w postaci *a nie mówiłem!!!*, zostałem zagoniony do klawiatury komputera, by nadrobić zaległości naukowe, co znacząco przyspieszyło proces mojej habilitacji.

Z perspektywy mojego już mocno dojrzałego wieku mogę powiedzieć, że byliśmy w pewnym sensie przyjaciółmi, pomimo sporej różnicy lat. Profesor znał nasze rodziny, wiedział czym zajmujemy się poza pracą w Klinice, znał nasze hobby, choć niekiedy potrafił z tego zakpić (chirurgia była przecież najważniejsza). Spotykaliśmy się towarzysko, uczestnicząc w różnych hucznych biesiadach czy też, co szczególnie sobie ceniliśmy, w kameralnych pokojach hotelowych, rozmawiając na przeróżne tematy, pochyleni nad lampką koniaku i pętem kiełbasy. Byliśmy goszczeni przez Profesora i Jego Małżonkę w mieszkaniu na Świętojańskiej oraz w Sitnie w Jego domku letniskowym. Wielkim zaszczytem dla nas, młodych chirurgów, były odwiedziny Profesora w naszym siedlisku na Kaszubach. Cenny ślad tej wizyty znajduje się w „złotej księdze pamiątkowej” będącej kroniką wydarzeń znad Jeziora Wieprznickiego – zamasyisty, pisany piórem wpis Profesora podsumowujący odwiedziny „u swoich najbliższych”. Tak, nazywał nas swoimi najbliższymi.

Życie toczy się dalej. Przychodzimy, odchodzimy, Profesor wydawał się wieczny. I pozostanie wieczny w naszych sercach i umysłach.

prof. Marek Dobosz